Rozmaitości

Dnia 21. Września Nr 38. 1839 Roku.

PRZYPADKI

SZPADY Z PIERNIKA.

Przez E. M. St. Hilaire.

Dnia 24. paździer. 1813 przed zachodem słońca przybył Napoleon do Frejberga, gdzie już dla niego mieszkanie w domu protestanckiego proboszcza przyrządzoném było. Skoro wysiadł z pojazdu, zamknął się natychmiast z Berthierem, i nie posiliwszy się bynajmniéj, zajął się sprawami Francyi: dyktował dekret zwołania ciała ustawodawczego, wydawał rozporządzenia względem nagród, mianował zasłużonych na wyższe stopnie, rozdawał ozdoby honorowe. Co gdy ukończył przedłożył mu marszałek wykaz strat, jakie podczas bitwy pod Lipskiem i po jéj ukończeniu wojsko poniosło. Straty te były nie małe, Berthier sam opłakiwał śmierć swego siostrzeńca, młodego d'Avranges, pułkownika przy nowym pułku kirysyjerów, który dopiéro przed kilką dniami orły od Napoleona otrzymał. Waleczny oficér ten, zasłaniając odwrót księcia Poniatowskiego, poległ na przedmieściu Lipska. Gdy Berthier ze wzruszoném sercem nazwisko pułkownika d'Avranges wymówił, zadrzał Napoleon i spojrzał na księcia Neufchatel smutnym wzrokiem, a potém stłumiwszy boleść, zapytał krótko: »Powiédz marszałku, jakież jeszcze straty poniosłem?« — »Najjaśniejszy Panie, Delmas, jenerał dywizyi, poległ w ogniu saskiéj artyleryi, a z nim Vial, Rochambeau...« — »Dosyć, dosyć!« przerwał mu Napoleon, i zakrył sobie twarz obiema dłońmi; po chwili milczenia westchnął głęboko i rzekł z cicha do siebie: »Bessieres, Duroc, Kirchener, Bruyere, Vial, Rochambeau, Delmas, Poniatowski!... Tylu walecznych! Wszyscy polegli; wszyscy co do jednego! Ach, to okropnie! Kiedyż się to zakończy! Czyliż już nie dosyć krwie płynęło? Czemuż tylko na mnie samego nie uderzają!« Po tych słowach zapadł w zamyślenie, z którego po chwili ocknąwszy się, zapytał: »Mówiłeś mi marszałku, że z walecznych pułkowników moich zginął także d'Avranges...« — »Tak jest, Najjaśniejszy Panie, poległ od Prusaków. Ostatnie słowa siostrzeńca mego wyrażały wdzięczność dla W. C. Mości, za wszystkie łaski, które mu wyświadczyłeś, a ostatniém westchnieniem jego była ojczyzna i matka jego. Najj. Panie, jest ona moją siostrą, a on...!« To rzekłszy umilkł i dłonią oczy sobie zakrył. Podczas gdy Berthier mówił, drżały ręce cesarza, usta jego pobladły; byłoto u niego znakiem głębokiego wzruszenia. Pochyliwszy głowę nad stołem, przy którym siedział, wyciągnął ramię dla ujęcia Berthiera ręki, którą ścisnął dwukrotnie nie wymówiwszy ani słowa. Książę Neufchatel, uspokoiwszy się, rzekł: »Najj. Panie, w szczegółowych okolicznościach, ściągających się do śmierci siostrzeńca mego, zachodzi wypadek, którego wcale pojąć nie umiém, wypadek, któremu zaledwo wierzyć mogę, chociaż mię o tém wiarygodne usta zapewniły.« — »Jakiżto wypadek?« zapytał Napoleon. — »Najj. Panie, jestto rzecz do prawdy niepodobna, a nawet dziecinna: pomiędzy mundurem a kirysem jego znaleziono... a przecież wiadomo, że d'Avranges nie cierpiał obłąkania zmysłów...« — »No, i cóż znaleziono?« zapytał cesarz z najżywszą niespokojnością. — »Najj. Panie, znaleziono małą szpadę z piernika, jaką zwykle w po-

darku dzieciom się daje, ale która przez długi przeciąg czasu tak mocno stwardniała, iż trudno poznać z czego właściwie jest zrobiona. Troskliwość, z jaką ona w patent legii honorowéj, którym W. C. Mość w przeszłym roku go zaszczyciłeś, zawinięta była, każe się domyślać, iż zabawka ta wielką wartość u niego miała.« — »Jestto rzecz osobliwsza!« rzekł Napoleon z cicha i wypatrzył się osłupiałym wzrokiem przed siebie, jak ów człowiek, który na jakową rzecz patrzyć się zdaje, a przecież jéj nie widzi. — »Jestto zapewne podarunek otrzymany jeszcze dziecięciem od kuzyny, do któréj mocno był przywiązany.« — »Mylisz się, Berthierze!« odrzekł cesarz powiodłszy ręką po czole; »w tém coś innego!« I znowu w myślach się zatopił. — »Jakkolwiek bądź,« dodał Berthier, »rzecz ta jest osobliwszą!« Ale zaledwo te słowa wyrzekł, jakże się nie zmieszał postrzegłszy wrażenie, jakie one na cesarzu sprawiły; cesarz albowiem na te słowa powstawszy, zbliżył się drzący do Berthiera, ujął go za rękę, i przez chwilę ani słowa przemówić nie mógł. Potém uśmiéchnął się, ale w tym uśmiéchu było tyle goryczy, iż książę zaczął się obawiać, ażali go jakiém słowem nie obraził. »Wćpan jesteś w obłędzie, nie jestto rzecz osobliwsza, ale tkliwa i wzniosła! d'Avranges dotrzymał słowa, został wiernym swojéj przysiędze. Maszże mi jeszcze co donieść?« — »Nie, Najj. Panie.« — »Dobrze więc; odejdźże teraz, i zajmiéj się natychmiast wydaniem rozkazów, aby pomiędzy wojsko moje rozdano przeznaczone przeze mnie nagrody. Opuść mnie, mości Berthier, życzę sobie zostać sam na sam.« To rzekłszy oparł głowę w obie dłonie i zatonął w głębokie dumanie. Marszałek wyszedł z pokoju i nadaremnie łamał sobie głowę, jakiby mógł być związek między Napoleonem, nieszczęśliwym jego siostrzeńcem, a małą szpadą z piernika?

* * *

W r. 1794, w czasie, gdy plac Vendôme jeszcze był placem *Pik* zwanym, a kamienie z pomnika, który w tém miejscu Ludwikowi XIV. wzniesiono, leżały jeszcze porozrzucane na bruku trawą zarosłym, pewien oficer od artyleryi z surową, zamyśloną miną, założywszy w tył ręce, przechadzał się po tém prawie odludném miejscu; zdawał się on mieć najwięcéj lat 25, był nizkiego wzrostu, chudy i smukły. Długie, czarne włosy spadające aż na ramiona, nadawały bladéj, ognistémi oczyma ożywionéj twarzy jego, niewymownie oryginalny charakter. Oficer ten w przechadzce swojéj stawał często jak wryty, i przypatrywał się posępnym wzrokiem placowi, który jeszcze nie dawno najpiękniejszéj swojéj trofei był pozbawiony. Poziérał na podstawę zburzonego posągu i wznosił wzrok ku niebu, podobnie temu, który w myśli świątynię, łuk tryjumfalny albo kolumnę zbudować zamyśla.

Gdy oficer w tym rodzaju zachwycenia jeszcze zostawał, wybiegł do niego z poblizkiego hotelu, jakiś miły, dobrze ubrany chłopczyk i zbliżywszy się niespodzianie, zapytał go z żołniérską śmiałością: »Nie prawdaż obywatelu, że jesteś jenerałem?« — »Nie jestem nim, mój młody przyjacielu.« — »Ach, co słyszę! wćpan nie jesteś jenerałem! Ale jesteś przecież przy artyleryi?« — »To prawda, że mam zaszczyt być przy artyleryi; lecz jestem tylko komendantem... Jednakże stopień ten zdaje się dla ciebie być nie wiele znaczącym?« — »Komendantem, komendantem!« powtarzał sobie chłopiec z poważną miną, poczém podniosłszy głowę, spojrzał na oficera dużémi, jasnémi oczyma: »To dla mnie wszystko jedno,« rzekł donośnym głosem, o jabym życzył sobie być komendantem! Stryjaszkowie moi mówią mi, że i ten stopień już dosyć piękny. Po mundurze wćpana zaraz poznałem, że do artyleryi należysz, chociaż Jakób sprzéczał się ze mną, i nie chciał temu dać wiary; lecz on się zawsze ze mną przedziéra«. — »Któżto jest ten Jakób, który śmié sprzeczać się z tobą?« — »Ej, jestto lokaj mojéj mamy. Staliśmy obadwaj na tym dużym balkonie i uważaliśmy pana; nie prawdaż, że wćpan tędy już prawie od godziny się przechadzasz?« Oficer będąc niespodzianie w ten sposób zagadnionym, zaczerwienił się trochę, poczém odrzekł z uśmiéchem: »Oczekuję tu mojego przyjaciela.« — »A więc, ponieważ przyjaciel wćpana nie przychodzi,« rzekł uprzejmy chłopiec, »nie będęż ja natrętnym, jeżeli go o jednę rzecz zapytam?« — »Bynajmniéj, pytaj a jeżeli zdołam, chętnie ci odpowiém,«

odrzekł młody oficer, którego nieznajomy chłopiec wielce zajmować zaczął. »Otóż powiédz mi wćpan przez grzeczność swoję, ażalibyś mnie przyjął do swego pułku? Jestem już dość słuszny, umiém już dobrze czytać i pięknie pisać, uczę się jeografii; nauczyciel mój zapewnia mnie...« — »O, o! młody mój przyjacielu,« przerwał mu oficer, »u nas nie podług wzrostu wybiérają się żołniérze, co możesz po mnie poznać; ale podług wieku i miłości ojczyzny. Ileż masz lat?« — »Nie za długo będę miał lat ośm, obywatelu! Przypatrz się mi tylko dobrze.« To rzekłszy wyciągnął się co siły i przybrał wojskową postawę; z uprzejmością spojrzał na niego komendant, a lekki uśmiéch przebiegł po zaczerwienionych ustach jego. »Jesteś jeszcze za młody, kochany mój przyjacielu,« rzekł do chłopczyka, »uważ to sobie, jeżeli nie mamy przepisanego wzrostu, przynajmniej nam dla zniesienia trudów wojennych, siłę miéć trzeba.« — »Wszak są w wojsku feifry i tambory, którzy nie są słuszniejszymi ode mnie.« — »To prawda, ale ty powinieneś także miéć siłę, abyś mógł robić szpadą; albowiem przed nieprzyjacielem, mój młody przyjacielu, nie dosyć jest miéć serce i być odważnym.« — »O, jeżeli tylko tego potrzeba, więc masz wćpan wiedzićć, że umiém już tęgo robić szpadą; zapytaj się tylko moich stryjaszków, którzy podobnie jak i wćpan są oficerami; ja ich wielką szablą jedną ręką wywijać mogę.« To rzekłszy, wskoczył jakby zwinny kot na kotlinę od wodotrysku, przy którym obadwaj rozmawiali, i oparłszy się jedną ręką na ramieniu komendanta, ujął drugą za rękojeść szpady i wyciągnął ją z pochwy. Oficer postrzegłszy tak niespodzianą natarczywość, wstrzymał rękę małego wartogłowy i spojrzawszy nań roziskrzoném okiem, rzekł poważnym głosem: »Zaczekaj; téj szpady nikomu, prócz mnie, dotknąć się nie wolno! Są rzeczy na świecie, z któremi dzieci żartować nie powinny; zléź mi natychmiast mały zuchu!« — »Ja panu tylko pokazać chciałem, że...« rzekł zająkując się chłopiec; »czy się gniewasz na mnie obywatelu? Przebacz mi; już tego nigdy więcéj nie zrobię!« Oficer wzruszony, zdjął chłopca z kotliny i na ziemi postawił: »Nie mogłem ci pozwolić téj szpady, abyś nią się nie zranił, lecz dla przekonania, że się na ciebie nie gniewam i dla zaspokojenia twojéj ochoty wojennéj, kupię ci piękną szpadę z piernika; przyjmieszże ją? Może w czasie będę ci mógł dać inną; lecz przestań płakać, gdyżby mnie to bardzo bolało.« — »O, kup mi, kup szpadę, niech już będzie i z piernika,« odrzekł chłopiec z radością; »ale na tym brzydkim placu nié masz żadnéj kramarki z piernikami,« dodał ociérając sobie łzy z oczu. — »Jeżeli będziesz tak grzecznym i pójdziesz ze mną kilka kroków do ogrodu oo. Kapucynów, tam znajdziemy niezawodnie czego nam potrzeba; ale...« przerwał mowę po niejakim namyśle, »czy się nie obawiasz, aby cię przez ten czas nie szukano, chociaż ja cię tu znowu niebawem odprowadzę.« — »O, mnie już wolno samemu chodzić; nie raz mię aż na ten tam trawnik samego puszczają. Jednakże, aby mama nie złajała Jakóba, wolę mu raczéj powiedziéć, że z wćpanem idę, i że wkrótce będę z powrotem.« — »Słusznie, tak będzie lepiéj.« — »Jakóbie!« zawołał chłopiec skinąwszy na lokaja, który na balkonie hotelu stał na straży; »ja idę z panem komendantem do ogrodu oo. Kapucynów po piękną szablę; jeżeli się mama o mnie zapyta, powiedz jéj, że natychmiast powrócę.« Lokaj postrzegłszy, że oficer chce z sobą wziąć młodego panicza, zbiegł czémprędzéj na dół, ale chłopiec odgadłszy myśl służącego, postawił się ostro naprzeciw niemu i wystąpiwszy nogą naprzód, rzekł z dumą: »Jeżeli ci zaręczam, że natychmiast powrócę, dość ci na tém!« Poczém ująwszy za rękę komendanta dodał poważnym głosem: »A widzisz, iż ja od razu poznałem, że ten obywatel do artyleryi należy; ale ty mnie nigdy wiary dać nie chcesz.«

Oficer i młody towarzysz jego znaleźli niebawem to, czego szukali. Chłopiec pokazał mu starą kobiétę, siedzącą przede drzwiami sklepu, w którym pierniki przedawano, i porównywając rożne kształty piernikowe jedne z drugiemi, wybrał sobie sam najpiękniejszą szpadę. »Ile mam dać za tę szpadę?« zapytał komendant przedawczynię szukając ręką pieniędzy w swéj kieszeni. »Te są po dwa sous obywatelu, tamte zaś tylko po jednemu.« Komendant dał asygnatę

na 5 liwrów, które w téj chwili cały jego majątek stanowiły. »Ach! zacny mój obywatelu,« rzekła przekupka żałośnym tonem, »ta asygnata nie idzie teraz więcéj jak tylko 15 sous; wolałabym już, abyś mi pan dał jednego sous, bo nié mam tyle, abym zdać mogła.« — »Bardzo chętnie, ale nié mam drobnych przy sobie,« odrzekł oficer z lekkim uśmiéchem i z zapłonioném licem; »w takim wypadku możecie zatrzymać całą kwotę.«— »O mój miły Boże! cóżto pan sobie myślisz o mnie?« rzekła poczciwa staruszka, »ja wolę panu zawierzyć; pan masz minę poczciwego człowieka. Ojczyzna nie jest w takiém niebezpieczeństwie jak przeszłego tygodnia; a więc zostaniesz mi pan dłużnym dwa sous w gotowiznie.« Te ostatnie słowa wymówiła dobitnie. Oficer zmieszał się nie mało taką mową, i nie wiedział jak sobie zaradzić, gdy oto w téjże chwili uczuł, że go ktoś zlekka po ramieniu uderzył. »Jak widzę, komendant Bonaparte jest miłośnikiem pierników!« rzekł grubym, dźwięczno brzmiącym głosem ten, który przybył. »A! czyśto ty Talmo?... prawdziwie, mój przyjacielu, przychodzisz jak na zawołanie. Zapłać też za mnie dwa sous téj poczciwéj kobiécie, która w pieniądzach rzeczypospolitéj nie wielkie pokłada zaufanie.« Artysta wyjął sakiewkę i dał przekupce monetę dwanaście sous zawiérającą, z czego już resztę zdać mogła. »Ale mój kochany Talmo, czekałem na ciebie na placu *Pik* więcéj godziny,« rzekł Napoleon głosem uprzejméj przygany, »i byłbym niezawodnie już dawno odszedł, gdyby nie ten milutki chłopiec... ale gdzież się on podział ten psotnik?« zawołał i z obawą spojrzał w około siebie. »Uspokój się panie komendancie, widziałem go, jak wywijając szpadą z piernika pobiegł do domu swych rodziców, ja go znam doskonale... Jednakże, przebacz kochany Bonaparte, że tak długo na mnie czekałeś, właśnie z próby przychodzę.« — »Przedstawiż nam teatr rzeczypospolitéj nareszcie co nowego i co dobrego?« — »Niekoniecznie co nowego, ale może co dobrego, spodziéwam się tego przynajmniéj po moich towarzyszach; przedstawimy »Karola IX.« przez Cheniera, i tą razą przerobiłem sobie rolę zupełnie.« — »Jakże szczęśliwym jesteś Talmo!« przerwał mu mowę Bonaparte z wyrazem, w którym się zadowolenie i gorycz przebijały; »ciebie publiczność uwielbia; w każdym dniu nowy tryjumf odnosisz; kunszt twój piérwszy ze wszystkich; jestto rozkoszą być od zachwyconéj publiczności każdego wieczora oklaskami zaszczyconym! Ach, Talmo! Twoje artystowskie stanowisko jest wzniosłe, szczytniejsze nad wszystkie inne!... Ja muszę wprzódy zwycięztwami dobijać się o czwartą część owéj sławy, jaką ty sobie już zjednałeś, a dla odniesienia takich zwycięztw, potrzeba żołniérzy, dział, pieniędzy.« — »Wszystkoto w czasie będziesz miał na swe rozrządzenie, zawierz mi przyjacielu; zasługa twoja będzie uznaną, ocenioną, wydobyta na jaśnią i spanialéj nagrodzoną, niż sobie teraz wyobrażasz. Taka jest moja przepowiednia.« To powiedziawszy Talma przybrał zarazem poważną, teatralną postawę, i z uroczystym giestem dotknąwszy się ramienia Napoleona, rzekł: »I bądź pewnym, że wyrocznia ta prędzéj się ziści, aniżeli słowo Kalchasa!« — »Brawo, Talma! ty wygłaszasz ten wiérsz zawsze do podziwienia.« — »A ty, mój kochany komendancie, zawsze jesteś szczodry dla mnie w pochlebstwa!... Lecz teraz nie o to chodzi. Mieliśmy dziś obadwaj jeść obiad w *Frères Provençaux*; ale zapraszający bilet od jenerała d'Avranges d'Haugeranville, który wczoraj na moim stole zastałem, nie pozwala mi gdzie indziéj być na obiedzie. Byłem u niego dzisiaj zrana, chcąc się uwolnić, ale nie przyjęto moich wymówek, muszę koniecznie przyjść na ten obiad, na którym będą także: Chenier i bracia pani d'Avranges, Cezar, Leopold i Alexander Berthier, o których zapewne już słyszałeś; Barras, Perregaux i wielu innych są także zaproszeni. Musiałem przyrzéc jenerałowi, że i ciebie przyprowadzę; a zatém wymówić się nié ma sposobu.« — »Ależ przez samę przyzwoitość nie wypada mi być na obiedzie w domu, w którym jeszcze nie byłem przedstawiony.« — »Nie potrzebujesz tego bynajmniéj tam, gdzie ciebie oczekują. Pani d'Avranges ma bardzo lube dzieci, kochania godnych braci i siostry, a cała familija życzy sobie bardzo poznać się z tobą.« — »Lecz jeszcze jedno; niepodobna, abym tam poszedł w tak zaniedbanym ubiorze,« zarzucił

Napoleon z niecierpliwością, spojrzawszy smutno na swój surdut, którego wytarta barwa okazywała, że już długo był używanym. »Gotowi wnieść sobie, żem emigrant lub arystokrata,« dodał z lekkim uśmiéchem. — »Żartujesz kochany przyjacielu, ja sądzę, że mundur komendanta artyleryi zawsze dobrze się wyda obok świecideł i pióropuszów naszych uznakomiconych osób republikańskich. Zresztą byłoby mi bardzo miło, abyś poznał tych ludzi.« — »No, niechże i tak będzie!« rzekł Bonaparte, i starając się naśladować giest i ton artysty, dodał: »Dobrze, idę więc tam, dokąd mnie przeznaczenie wzywa! Jednakże wymówienie mię przed płcią piękną, pozostawiam twojemu staraniu.« Talma przyrzekł to uskutecznić, i zaprowadził komendanta do jednego z najpiękniejszych pałaców na placu Vendôme. Gdy do pysznie przyozdobionéj, już wielu gośćmi zajętéj sali weszli, mały chłopiec skoro zoczył Napoleona, zsunął się spieszno z kolan swego stryja Alexandra Berthier, poskoczył ku niemu i rzuciwszy się w jego objęcie, rzekł: »Ach, mamo! wszakto mój przyjaciel od niedawna! Nieprawdaż, obywatelu, iż gdy cokolwiek podrosnę przyrzekłeś mi w miejsce téj szpady dać inną, piękniejszą, która bardzo ostrą będzie?« — »Niezawodnie młody mój przyjacielu,« odrzekł Napoleon całując go serdecznie. Jenerał d'Avranges wyszedł naprzeciw niemu i przedstawił go swojéj żonie, która powitawszy go z uprzejmością rzekła do swego syna: »Tak, mój luby aniołku, zachowaj tę szpadę najtroskliwiéj, aby kiedyś komendant Bonaparte miał tę pociechę, wymieniać ją na szpadę komendancką.«

Od tego dnia zawiązała się owa sławna przyjaźń, która przez lat ośmnaście pomiędzy Napoleonem, młodym d'Avranges i Alexandrem Berthier trwała. Może pamięć o téj szpadzie z piernika była także powodem, że miecz wice-konetabla Francyi w ręce marszałka Berthiera złożono, który ze wszech miar był godzień tego zaszczytu. Co się Talmy dotycze, wiadomo powszechnie, z jaką życzliwą spaniałością cesarz zawsze z nim się obchodził. Napoleon zapłaciwszy kilkakrotnie za niego długi, wynagrodził mu sowicie ową pożyczkę, którą niegdyś w ogrodzie oo. Kapucynów na zapłacenie szpady z piernika u tego wielkiego artysty był zaciągnął. Teraz zaś przeniesiemy się w czas o dziewietnaście lat poźniejszy, w początku r. 1813.

* * *

Jednéj niedzieli w miesiącu marcu 1813, niemal sześć tygodni przed odjazdem cesarza na ową nieszczęśliwą saską wyprawę, która wielką klęską pod Lipskiem się skończyła, przeglądał Napoleon na dziedzińcu Tuileryjów wojsko, które na drugi dzień zrana do wielkiéj armii odejść miało. Jakkolwiek już sama obecność cesarza obudzała wielki zapał pomiędzy wojskiem, jednakże Napoleon dla zagrzania i posunięcia do najwyższego stopnia patryjotycznych uniesień, jakiemi żołnierze zdawali się być ożywionymi, kazał sobie tą razą przynieść króla Rzymskiego, i wziąwszy go w swoje ramiona, chodził z nim pomiędzy szeregi i pokazywał go wojsku. Na ten widok ogarnął wszystkich żołniérzy, że tak rzekę, pewien rodzaj szału, oznajmiający się przez najgłośniejsze życzenia, o których bynajmniéj nikt nie wątpił, gdyż się snadno przekonać można było, że one z najszczérszego serca pochodziły. Napoleon wzruszony do żywego, wrócił do swojego pałacu mocno uradowany, z czego niejeden dworzanin dla dopięcia zamiarów swoich bardzo zręcznie korzystać umiał. Przechodząc przez wielką galeryję, w któréj się wszystkie najznakomitsze obywatelskie i wojskowe osoby zgromadziły, pieścił się z swoim synem, i całując go zwracał obecnych uwagę na wczesne rozwinięcie się jego umysłu. »Nie okazał najmniejszéj bojaźni,« rzekł cesarz przyjaźno do kilku oficerów, przy których się zatrzymał; »malec ten zdawał się domyślać, że wszyscy ci waleczni, którym go pokazywałem, są przyjaciołmi jego ojca.« Potém rozmawiał Napoleon z wszystkimi, którzy go otaczali; trzymając na ręku syna, pociągał go lekko za ucho i rozkręcał pierścienie jego blond włosów, które się z pod zielonéj aksamitnéj, złotemi gwiazdkami haftowanéj czapeczki wytaczały. Postrzegłszy pierwszego budowniczego pomiędzy członkami instytutu, zwrócił się do niego z pogodną twarzą i rzekł: »Jakże tam mości Fontaine,

zajmujeszże się pałacem dla naszego króla Rzymskiego? Czy spiesznie postępuje budowa?« Z uszanowaniem skłonił się budowniczy w znak potwierdzenia. »Syn mój na przyszłość mieszkać w nim będzie,« dodał i spojrzawszy na dziécię z całą dumą ojcowskiéj tkliwości, oddał go w ręce piastunki. Widząc jak niepewnym krokiem dziécię szło długą galeryją, zmarszczył czoło, a gdy zaś odźwierny zamknął drzwi za królem Rzymskim, westchnąwszy rzekł po cichu do siebie: »Tak, tak! budujemy ci pałac!... ale — jeżeli tą razą uledz nam przyjdzie, nie pozostanie ci nawet licha chatka, w któréjbyś głowę swoję mógł schronić!« Te słowa z ust cesarza są tém bardziéj uwagi godne, ileże prawie proroczego znaczenia nabyły. Wszelako twarz jego wkrótce się znowu wypogodziła, i zaczął swój zwykły obchód.

Po każdéj wielkiéj paradzie, jak wiadomo, wszyscy wyżsi oficerowie i pułkownicy, którzy po przed cesarzem z wojskiem przeciągali, zgromadzali się w galeryi, i w tém miejscu ganił on lub chwalił naczelników, których podrzędni, obroty wojskowe dobrze lub źle wykonywali. Tą razą miał każdemu coś przyjemnego do powiedzenia. Jednemu rzekł: »Jest mi bardzo miło widzieć, żeś wćpan czoło swego batalionu z tak dobornych ludzi uformował;« drugiemu: »Z oficerami wćpana widziałem się nie na jednem bojowisku;« trzeciemu: »Konie wćpana zdają się być takąż samą jak ich jeźdzcy ożywione odwagą; jestto znakiem szczęśliwéj wróżby.« Gdy w ten sposób rozmawiał, spostrzegł niespodzianie w końcu galeryi młodego pułkownika kirysyjerów; pospieszył natychmiast ku niemu, zatrzymał się przed nim, i rzekł widocznie uradowany: »Dzień dobry! pułkowniku d'Avranges,« na któryto wyraz w młodym pułkowniku serce z radości zadrżało. »Bardzo mi jest miło, że cię jeszcze przed odjazdem moim tutaj oglądam. Jakże się ma twoja matka?« Napoleon dotrzymał młodemu d'Avranges przed dziewiętnastą laty danego słowa. Młodzieniec ten już w siedmnastym roku opuścił francuzkie Prytaneum i wstąpił do szkoły wojskowéj, w któréj przez dwa lata zostawał, poczém w stopniu porucznika odbył polską i pruską wyprawę. Na placu bitwy pod Wagram, gdzie się najszczególniéj odznaczył, posuniętym został na kapitana. Przed wyprawą rossyjską był już dowódzcą szwadronu, a za powrotem z téj nieszczęsnéj kampanii mianował go cesarz pułkownikiem i oficerem legii honorowéj; teraz liczył zaledwo lat 28. Młody d'Avranges zapytany przez cesarza, spuściwszy skromnie w ziemię oczy, odrzekł: »Najjaśniejszy Panie, matka moja jest już w bardzo podeszłym wieku, jednakże tak jeszcze krzepka, iż każdego dnia słucha mszy świętéj i modli się za zdrowie i pomyślność oręża W. Ces. Mości.« — »Wiadomo mi, że pani d'Avranges jest bardzo pobożna dama, i że dla familii swojéj jest przykładem cnoty i posłuszeństwa, jakie się należy dla monarchy, który się dla naszego szczęścia poświęca... Ale, ale, pułkowniku,« przeszedł Napoleon z poważnéj mowy w ton wesoły, »czy pamiętasz jeszcze o piérwszém naszém spotkaniu się na placu Vendôme? Odtąd już wiele lat upłynęło!« — »Ach, Najj. Panie, wspomnienie o tym dniu jest nieustannie obecném méj pamięci.« — »Podobnież i mnie dzień ten nie wychodzi z myśli; podówczas byłem jeszcze tylko małoznaczącym komendantem artyleryi,« dodał pochwiawszy głową, »podczas gdy wćpan teraz już pułkownikiem jesteś; wćpan rozkazujesz, ja wówczas słuchałem jeszcze rozkazów, a przecież już w twoim wieku byłem.« — »Ale Najj. Pan,« odrzekł d'Avranges z uśmiéchem, »umiałeś należycie wynagrodzić sobie ów czas stracony!« — Cesarz uśmiéchnął się podobnież i rzekł: »Spodziéwam się, mój kochany, że i ty do żalu nié masz powodu. Prawda, że się czasy odtąd bardzo zmieniły; a przecież zawsze z żalem przypominamy sobie upłynione czasy młodości, owe swobodne, błogie czasy, w którychto szpady z pierników się zjadało, nieprawdaż? Sądzę, iż nie zapomniałeś jeszcze o téj szpadzie, którą ci dla przywrócenia między nami pokoju podarowałem, gdyż byliśmy się cokolwiek z sobą poróżnili!« — »Ach, Najj. Panie, téj szpady ja nie zjadłem, i owszém przechowuję ją dotąd z największą troskliwością;« odrzekł pułkownik mocno wzruszony. »Doprawdy?« zapytał cesarz z wyrazem zdziwienia i ukontentowania; »lecz to podobno nie była owa szpada, którąś pod Moskwą tak walecznie na czele swego szwadronu dowodził!« — »Zapewne, że nie Najj. Panie, lecz ta szpada towarzyszyła mi we wszystkich moich wyprawach.« — »A więc dobrze, mój mości pułkowniku, jeżeli ją dotychczas jeszcze przechowujesz,« rzekł cesarz z łagodnym uśmiéchem, »życzyłbym sobie serdecznie, abyś ją po skończeniu téj wyprawy z sobą do mnie przyniósł.« — »Przysiągłem mojéj matce, że się z nią aż do mojéj śmierci nie rozłączę, i upewniam W. C. Mość, że dotrzymam mojéj przysięgi!« — Na te słowa, wyrzeczone z zapałem, spojrzał Napoleon na młodego d'Avranges tkliwym wzrokiem, i dawszy mu ręką lekki znak pożegnania, oddalił się, wołając za nim: »Bądź mi zdrów, mój pułkowniku! mam nadzieję, że nie za długo się zobaczymy.« Co się poźniéj stało, już wiadomo.

CYGANKA.

(Z rossyjskiego Szewirewa.)

Czyś widział w tańcu tę Egiptu córę,
Jak skacząc wznosi lekkich prochów chmurę?

Podobna sarnie pierzchliwą istotą,
A jak dwa węże jéj nóżki się plotą.

Wzrok jéj upaja jak swobody pienia,
Postać ulotna jak dziewic marzenia;
Usta jéj wiecznie całowaćby chciały,
A z ócz ogniste wylatują strzały.

Pierś wre jak w burzy dwa morskie bałwany,
Lice zrumienił jutrzni blask różany;
Tak jest nęcąca w utkanym z mgły stroju,
Jak młodym sercom głos trąby do boju.

S. J.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Ner. 38. i obejmuje: 1) Doświadczenia z prosem. 2) Machina do krajania kartofli. 3) Przemiana owsa w żyto. 4) O przechowywaniu owoców. 5) O leczeniu księgosuszu zimną wodą. 5) Powidła ze śliwek. 6) Syrop z gruszek. 7) Pomnożenie cukru przez sposób zachowania buraków. 8) Instytut rolniczy w Grignon. 9) Olbrzymia pszenica. 10) Nadzwyczajny plon kartofli.

Czytamy w gazetach warszawskich o drugich *Pracach literackich*, które niejaki p. M. B. Skotnicki prospektem zapowiedział. Ma to być kilka tomów mieszczących różne gatunki poezyi, powieści oryginalne i tłumaczone sztuki dramatyczne. Między innemi umieści autor »Opis smętarzy warszawskich;« nie wymienia wierszem czy prozą. Tom piérwszy wyjdzie około połowéj października.

W Poznaniu wyszły następujące dzieła: 1) *Poeta i świat*, przez J. J. Kraszewskiego, pierwsza ze zbioru powieści tego znakomitego pisarza. 2) *Podróż Jana Kontrymą po Polesiu r.* 1829. 3) *Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polszcze*, przez dr. L. Gąsiorowskiego. Tom piérwszy dochodzący do r. 1622; drugi w czasy nowsze nas przeniesie. — Pod prasą znajdują się: 1) *Pamiętniki do panowania Jana Kazimierza.* 2) *Nowe powieści biblijne.*

Znany zaszczytnie z prac swych profesor Kokular w Warszawie, świeżo wykończył piękny wielki obraz oryginalny *Trójcy Świętéj*, dla jednego z kościołów warszawskich.

Obrazy pana Dageurre. Odcisk obrazów olejnych. W salach pięknych kunsztów akademii wiedeńskiéj, przeznaczonych na wystawę wyrobów rękodzielnianych, są już od dwóch dni na widok publiczny wystawione dwie największe artystowskie osobliwości naszego czasu w próbach, które bardzo szczęśliwie się powiodły, mianowicie: dwa obrazy zdjęte z natury przez pana Daguerre, i jeden odcisk olejnego obrazu przez pana Liepmann zrobiony. Pierwsze przesłano z Paryża księciu Metternichowi-Winneburg, który je niezwłocznie przesłać kazał do akademii na publiczną wystawę. Przedstawiają one pracownią rzeźbiarza i wybrzeże Paryża, i co do wrażenia z żadném inném kunsztownem dziełem porównać się nie dadzą. Nie sąto rysy linijowe, lecz czyste tynty, jakie natura przestawia, które szczególniéj w znaczném oddaleniu i przez powiększające szkło widziane, magiczne wrażenie sprawiają. — Co do odcisków olejnego obrazu, który pan baron de Pereira, otrzymawszy od pana Liepmann w Berlinie, był tak grzeczny i przesłał do Wiednia pod sąd publiczny, wstrzymujemy się jeszcze z wydaniem o nim stanowczo naszego zdania, dopokąd sposobu manipulacyi, wydatków na odciski, trwałości ich, tudzież innych ważnych szczegółów dokładnie nie poznamy. Odcisk wystawiony na widok publiczny w Wiédniu przedstawia obraz malowany przez Rembranda na papiérze pokostowym, na którym dokładnie oznaczonych zarysów i farb nie widać, a co może przez czas wypłowiałemu oryginałowi przypisać będzie można.

Skrzętność Amerykanów. Na dowód, z jakim pospiechem wszystko się w Stanach Zjednoczonych odbywa, przytacza kapitan Marryat w swym dzienniku o Ameryce, szybki wzrost miasta Buffalo, które w państwie nowo-jorskiém nad jeziorem Erik śród zupełnej pustyni jest położone. W roku 1814 zgorzało Buffalo, które podówczas było tylko włością. Nie ostał się na tém miejscu, jak tylko jeden dóm, a teraz jest miasto obejmujące 25 tysięcy mieszkańców. Jest bardzo pięknie zabudowane, wszystkie domy przy głównych ulicach wzniesione są z cegły, albo z granitu. Najcelniejsza ulica szersza jest i ma piękniejsze sklepy niż większa część ulic w Nowym Jorku. Miasto Buffalo liczy pięć do sześciu spaniałych kościołów, ma piękny teatr, ratusz, targowicę i trzy do cztérech hotelów. Do tego dodać należy doskonałą portową groblę z kamienia, latarnię morską i port zapełniony okrętami i spaniałémi parowémi statkami. Człowiek zdumiewa się, gdy pomyśli, że to wszystko od roku 1814 powstało. Atoli w Ameryce wszędzie znajdziesz podobne cudy niespracowanéj pilności ludzkiéj. »Na łeb na szyję« jest prawdziwe hasło w tym kraju; każdy spieszy się, krząta, pracuje, by uprzedzić swego sąsiada. Amerykanin żyje w dwójnasób tak długo jak inni ludzie, albowiem w dwojnasób tyle co inni dokonywa. Rozpoczyna on wcześnie swoje życie; w piętnastu latach jest już mężem, rzuca się w strumień przedsiębierstw, płynie i walczy z swymi spółzawodnikami. W najmniejszéj drobnostce okazuje Amerykanin, że czas dla niego jest nieoceniony. Wstaje bardzo rano, spieszno jak wilk połyka strawę i przez cały dzień ustawicznie pracuje. Jestli kupcem, nie wkłada swych pieniędzy w grunta albo papiery, lecz puszcza je w obieg po całym świecie, majątek jego jest zawsze produkującym, a gdy umrze, wtedy majątek ten ściągać potrzeba ze wszystkich cztérech części świata.

Lecząca władza muzyki. Wiadomo, jak poetycznym sposobem Szekspir, dla którego wszystkie tajniki natury ludzkiéj otworem stały, w dramatach swojich używał muzyki jako balsamu uśmierzającego boleść w chorowitym umyśle; jak obok najtkliwszéj miłości dziecięcéj przywoływał w pomoc ten kunszt na uleczenie szaleństwa Lira; i jak wielką z innéj strony przypisywał temuż kunsztowi władzę na ułagodzenie srogiego, zdziczałego człowieka. Wypadek, który niedawno w szpitalu Bicetr w Paryżu się wydarzył, posłuży za dowód dla tych, którzyby o prawdziwości téj poezyjnéj mysli powątpiéwali, i okaże im, jak przenikliwym był jenijusz Szekspira. Już od dawna był w nadmienionym szpitalu człowiek zostający w zupełnéj głupocie, nazwiskiem Rikard, który w zwierzęcém otrętwieniu życie swe pędził. Wklęsłe czoło, apoplektyczna cera twarzy, gnuśny i ociężały ruch ciała jego, wszystko to było cechą zupełnéj stępiałości umysłu. Gdy go znaleziono na ulicy i przyniesiono do szpitalu, nie można się było od tego kalibana ani mową ani giestami żadnéj rzeczy, tak co do familii jak i poprzedniczego jego życia, dopytać. Nie umiał on ani mówić, ani myślić, ani najmniejszéj rzeczy wykonać. Nawet sam głód nie mógł na nim wymódz, aby jakowy głos wydał, albo aby rękę do pożywienia wyciągnął. Siedząc w poręczowém krzesle lub przykucnąwszy w kącie, było jego zwyczajem pomrukując kołysać się na obie strony. Przypadek zdarzył, iż pewnego muzyka opery, który przez rozwiązły sposób życia dostał

pomieszania zmysłów, przywieziono do rzeczonego szpitalu, i w którym tenże uzdrowionym został. Doktor Ferus korzystając z téj sposobności, wpadł na myśl doświadczyć, ażali muzyka na głupotę tego człowieka nie sprawi jakowego wrażenia. By więc swojego wirtuoza pożytecznie zatrudnił, kazał mu, aby Rykardowi w muzyce lekcyje dawał. Skutek przewyższył wszelkie oczekiwania lékarza. Zaledwo że muzyk zadął na waltorni aryję: *Vive Henri quatre*, Rykard nastawił uszy, i okazał po raz piérwszy w swém życiu, że jego zmysły budzić się zaczynają. Muzyk zachęcony przez lékarza nie ustawał w pracy; po upływie kilku miesięcy przyprowadził do tego, że Rykard chociaż dzikim i wrzaskliwym głosem, jednakże dokładnie piérwszą wrótkę owéj aryi śpiéwał, a nakoniec i całéj się pieśni nauczył. Wszyscy obecni zdumiewali się widząc jakie postępy czynił ów nieszczęśliwy także w innych umysłowych pracach; a chociaż zawsze jeszcze jest politowania godnym, jednakże odtąd przynajmniéj stał się do człowieka podobnym. Teraz żąda już jeść i pić, gdy mu głód lub pragnienie dojmuje; nie leży już i nie siedzi na jednem miejscu, i nie daje się przenosić, lecz sam idzie na swoje legowisko; poznaje swego stróża, pozdrawia go rano nawzajem i wykonywa nawet niektóre małe polecenia wewnątrz szpitalu. Tak wielki skutek wywarła na nim muzyka, podczas gdy wprzódy daremną była wszelka praca, jaką sobie około niego zadawano.

Turnieje w Eglintoun. Pisma angielskie o piérwszym dniu wyprawionych turniejów u pana Eglintoun donoszą co następuje: »Pogoda w tym dniu niestety nie sprzyjała. Ogromna masa widzów, w ubiorach powiększej części z piętnastego i szesnastego wieku, zgromadziła się na turnieje. Damy były w ubiorze nadwornym z czasów królowéj Maryi Stuart. Obszerną oparkanioną przestrzeń, nie daleko zamku hrabiego, obrano na plac gonitw. Trybuny dla dam, a mianowicie dla téj, z któréj rąk rycerze dank odbiérać mieli, były spaniale przyozdobione. W około oparkanionego pola stały rozbite namioty, z których każdy w smaku swojego rycerza różnokolorowemi chorągwiami był ozdobiony. Na jednym rogu szranków na podstawie wznosiła się figura człowieka z drzewa, która w ten sposób była zrobioną, iż się obracała w około siebie, jeżeli jéj rycérz prosto w środek kopiją nie ugodził. Dla zabieżenia wszelkiemu uszkodzeniu na przypadek, jeżeliby który z rycérzy z siodła wysadzonym został, plac boju wysypano trocinami. Pośród wielkiej ulewy wyruszył cały orszak z zamku na plac bojowy. Z powodu nawalnego deszczu nie mogły damy towarzyszyć orszakowi na swych rumakach, lecz były przymuszone jechać w powozach, przeco orszakowi temu niemało na świetności zbywało. Nie można było także różnokolorowych chorągwi dla wielkiego deszczu rozwinąć, podobnież i pioropusze rycerzy śród słoty nienajlepiéj się wydawały. Lord Eglintoun, naczelnik turniejów, odznaczał się przed wszystkimi bogatą i złotem lśniącą zbroją. Pięknie ozdobiony rumak jego z dumą i odwagą stawał dęba pod swoim panem. Przejeżdżał on na nim kilkakrotnie w okół areny, kłaniając się z uszanowaniem wszystkim damom. Lord Londondery nie tak mocno siedział w siodle, jak na krześle w izbie wyższéj. Pomimo pióropusza i aksamitnego kaftana wcale nie był podobny do rycerza. Margrabia Waterford, pod nazwą rycerza smoka, miał na sobie najstarodawniejszą zbroję z czasów Ryszarda III. I rumak jego okryty był przepysznym czaprakiem. Lordowi Glenlyon, pod nazwą rycerza gelickiego, towarzyszyły uzbrojone kopijniki z Atollu. Był on tylko jeden rycerz, mający swój orszak. Nakoniec trąby zagrzmiały, roztworzono szranki i zaczęto gonić na ostre. Dwóch rycerzy wystąpiło na harc i uderzyli kopijami jeden o drugiego, ale tak słabo, iż się bynajmniéj nie skaléczyli. Kopije ich były oprócz tego tak cienkie, iż się za najmniejszém uderzeniem kruszyły. Z dwóch rycérzy, którzy na pierwszy harc wystąpili, jeden zwał się rycerz łabędzi (pan Firningham), a drugi rycérz czerwonéj róży (pan Lechmere). Rycerze ci spotykali się w środku areny; rycerz łabędzia ugodził swego przeciwnika w hełm, o który się włócznia jego zaraz strzaskała. Poczém obadwaj rycerze cofnęli się ku szrankom areny, gdzie rycerzowi łabędzia nową kopiję dano. Wystąpili oni powtórnie na harc z sobą, lecz i tą razą się nie powiodło, gdyż na rumaku rycérza łabędzia odpięła się przednia część zbroi. Następnie lord Eglintoun sam i rycérz smoka (margrabia Waterford) wystąpili w szranki. W piérwszym harcu lord Eglintoun ugodził swojego przeciwnika silnie w tarczę, ale nie wysadził go z siodła; w drugiém natarciu strzaskał kopiję swoję o przyłbicę rycérza smoka, i został obwołany zwycięzcą. Poczém w towarzystwie swojego masztalérza i pazia wyjechawszy przed trybunę, na któréj siedziała dama, królowa tego festynu, skłonił się przed nią z uszanowaniem, a piękna lady Seymour uwieńczyła go nagrodą. W tém rycérz z gorejącéj wieży (sir Tomasz Hopkins) zaczął gonić na ostre przeciw rycerzowi czerwonéj róży (panu Lechmere). Ten ostatni skruszył zaraz w piérwszém natarciu kopiję o przyłbicę swojego przeciwnika; ale w drugim harcu rycerz z gorejącéj wieży oderwał swojemu przeciwnikowi część przyłbicy, która śród głośnego okrzyku widzów w powietrze poleciała. Byłto najpiękniejszy orężny czyn na tych gonitwach. Został on ogłoszony zwycięzcą, i odebrał dank w nagrodę. Po krótkiéj i mało znaczącéj walce dwóch innych rycerzy, nastąpiła między góralem szkockim a niejakim panem Mackay, walka na miecze, którémi oburącz się rąbano. Pan Mackaj został w téj walce zwycięzcą. Wśród przestanków śmiesznie ubrany pajazzo rozrywał galeryję swémi żartami. Po ogłoszeniu zwycięzcą rycérza smoka, który w ostatnim harcu z rycérzem lwa najwięcéj kopij skruszył, zakończono na tym dniu walkę, a damy razem z rycerzami udały się z powrotem do zamku. Królowéj festynu, Lady Seymour, tak przy wyjeździe z zamku jak z powrotem towarzyszyły jéj łuczniki w wiernym ubiorze z czasów Robbinshooda.

Przewitanie. W dzienniku *Commerce* czytamy, iż do księcia Orleańskiego, który pod ten raz podróż po Francyi odbywa, pewien burmistrz miał następującą mowę: »Najjaśniejszy królewiczu! jestem bardzo uradowany z widzenia W. K. Mości, lecz nie będę miał żadnéj mowy, bo ja się na takich rzeczach wcale nie rozumiem. Gdyby mój adjunkt był tu pod ręką, wypaliłby do W. K. Mości szumną mowę, bo u niego tego nie kupić; lecz teraz jak na nieszczęście zwozi snopy z pola i nie prędko będzie z powrotem. Przebacz więc W. K. Mość, że na ten raz bez mowy obejść się musisz.« — Książę oświadczył z uśmiéchem, iż go mocno to cieszy, że w takim składzie rzeczy zostają.

W Nowojorskiej gazecie czytamy co następuje: »Na świecie są rozmaite osłów rodzaje. Niektórzy są już z urodzenia osłami, drudzy sami stają się niémi, a innych znowu ludzie robią osłami. — Do któréj też klasy osłów należą ci, którzy nieczytają nigdy gazety, a przecież na nie powstają?«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*